

# Niewinny czarodziej muzyki

Z Adamem Pierończykiem o jazzie rozmawia Mirosław G. Majewski

Mirosław G. Majewski: – Panie Adamie, lojalnie ostrzegam, że będzie to trudny wywiad...

Adam Pierończyk: – Dlaczego?

– Lubię słuchać muzyki jazzowej, ale praktycznie nic o niej nie wiem, prócz tego, że to jazz, a nie rock, czy pop. Zaczę więc od banalnego pytania, jak stał się Pan ikoną jazzu?

– Z tą ikoną to bym nie przesadzał.

– No to pozwoli Pan, że zacytuję Gazetę Wyborczą: „jeden z najwybitniejszych i najbardziej kreatywnych europejskich saksofonistów jazzowych, oraz... największych innowatorów w polskim jazzie”, a Frankfurter Allgemeine Zeitung nazwał Pana: „promieniem nadziei na wschodnioeuropejskiej scenie jazzowej”.

– Pozytywne oceny są oczywiście mile i motywują do dalszego działania, ale jednocześnie są względne i nie można się zbyt długo na nich skupiać.

– Rozumiem. Panie Adamie, ujmując to kolokwialnie, jest Pan w pierwszej lidze jazzu. Jak do tego doszło?

– No cóż... Mój ojciec jest muzykiem, pedagogiem. Gra na klarnecie i saksofonie, ale moim pierwszym instrumentem było pianino. I nie powiem, że bym zapałał do niego wielką miłością, wolałem grać... w piłkę nożną. Saksofonem na poważnie zainteresowałem się jako nastolatek, i bynajmniej nie grałem jazzu.

– A co?

– Była to muzyka new wave, punk, potem również pop lat 80tych oraz sporo muzyki elektronicznej i breakdance.

– W takim razie, skąd jazz?

– Saksofon jest najbardziej wyeksponowany w muzyce jazzowej. Kiedy miałem 18 lat wyjechałem wraz z rodzicami do Niemiec. W związku z tym, że zacząłem zbyt późno musiałem to nadrobić, ćwicząc nawet po 10 godzin dziennie. Brałem prywatne lekcje, uczestniczyłem w wielu warsztatach jazzowych, a dwa lata później przyjęto mnie na studia do prestiżowej Akademii Muzycznej w Essen.

– Rozumiem, że pańska kariera jako muzyka jazzowego narodziła się w Niemczech.

– Powiedzmy, że zacząłem swoją karierę na zewnątrz. Wraz z moim zespołem koncertowaliśmy sporo w Niemczech, Austrii i Francji. Polska była jakby kolejnym etapem. Etapem bardzo ważnym, bo był to dla mnie powrót do ojczyzny. Szybko zacząłem współpracować z pianistą Leszkiem Możdżerem, który zaprosił mnie do nagrania jego płyty *Talk to Jesus*. Następnym krokiem była nasza intensywna kooperacja w duecie, z którym objeździliśmy niemalże pół świata.

– Który to był rok?

– 1996.

– Domyślam się, że to nie był pierwszy pański krążek.

– Mój pierwszy krążek został nagrany rok później.



Adam Pierończyk

– A którą płytę, którą pan nagrał, czy ewentualnie wziął udział w nagraniu ceni sobie najbardziej?

– Trudno mi powiedzieć. Każdy krążek jest specyficzny, niepowtarzalny, dokładnie tak, jak koncert. O ile w muzyce klasycznej muzycy

grają na 100% z nut, praktycznie nie ma tam miejsca na improwizację, to w jazzie 90% to improwizacja. Dzięki temu nie da się zagrać dwa razy tego samego.

– Muszę panu przyznać rację. Jazz, w którego niuansie nie wchodzę, bo ich do końca nie rozumiem, budzi we mnie pewne, pozytywne emocje. O, ile mówimy, że muzyka łagodzi obyczaje, jazz robi to chyba najlepiej. Teraz nie potrafię ich zdefiniować, melancholia, zaduma... Mogę powiedzieć, że jazz jest dla mnie takim, „niewinnym czarodziejem muzyki”.

– Domyślam się, że nawiązuje pan do mojej płyty: KOMEDA – THE INNOCENT SORCERER („Komeda – Niewinny Czarodziej”)

– Tak. Pamiętam bardzo dobrze film Andrzeja Wajdy pod tym tytułem, z niesamowitą muzyką Komedy. Jak to jest grać Komede?

– Komede gra się z dużą przyjemnością, wiadomo, to klasyk rozpoznawalny po obu stronach oceanu. Ja starałem się jednak przedstawić jego kompozycje w trochę innym świetle, unowocześnić je odrobinę i włożyć w nie sporo własnego wyrazu.

– Słuchałem tej płyty z wielką przyjemnością, znam kilka utworów Komedy, klimat jego muzyki, ale świadomość tego, że za saksofonem tenorowym stoi Adam Pierończyk w moim przypadku przekładało się na to, że bardziej słucham Pierończyka niż Komedy.

– Instrument jest jedynie narzędziem przez który wyraża się muzyk, i to nie ważne czy gra własne kompozycje, czy cudze. I to jest właśnie istota jazzu. Jego niepowtarzalny urok, piękno... Jazz, jak pan wcześniej zauważył często wyzwała melancholię, liryzm...

– Liryzm. Tego słowa mi brakowało...

– Muzyka jest gdzieś w przestrzeni, a rolą artysty jest dotrzeć do tego miejsca, otworzyć się na tę muzykę i objawić ją poprzez instrument. Osobiście nie kieruje mojej muzyki tylko do znawców. Jakis czas temu byliśmy na trasie koncertowej w dalekiej Syberii grając dla publiczności, która nie słucha czegoś takiego na co dzień lub wręcz

(Dokończenie na stronie 4)